

"Samsara" – aneks o grupie, której jakby nie było

Trzy lata musiały upłynąć, zanim zdecydowaliśmy się na ujawnienie, że jesteśmy grupą literacką. Pozostało jeszcze kilka miesięcy zabiegów, w tym dwukrotne składanie materiałów w redakcji, i "Kurier Lubelski" z 16/17 stycznia 1970 roku zawierał kolumnę "Samsary". W warunkach normalnych w tym zespole można by było wydawać już miesięcznik, a może nawet tygodnik. Żyliśmy jednak w realnym socjalizmie a to oznacza jednak infantyлизację, czy - ładniej mówiąc - przedłużoną młodość.

Zaczęliśmy ledwie studiować, a tu w listopadzie (1966 r.) odbywał się w Lublinie Ogólnopolski Zjazd Młodych Pisarzy. Pierwszy i na długo jedyny. Tomasz Burek wygłosił wtedy znaczący referat zarzucający literaturze współczesnej odstępstwo od ideałów Października '56. Nie ukończyłem jeszcze wtedy dziewiętnastu lat, od czasów licealnych na bieżąco czytałem literaturę współczesną, między innymi "Współczesność", ale kompletnie nie były mi znane utwory socrealistyczne. Nie bardzo więc rozumiałem rolę Października. Odpowiadała mi natomiast tonacja wypowiedzi Burka krytyczna wobec aktualnej produkcji literackiej. Tymczasem obrady wyraźnie przebiegały wokół tego referatu. Jeżeli miałem jakiegokolwiek wątpliwości (powyżej), to wbrew swoim chęciom przekonał mnie Jerzy Putrament argumentami przeciwko Burkowi. Z Lublina występował Franciszek Piątkowski (redagował wtedy literacką kolumnę „Kontrapunkt” w „Kurierze Lubelskim”) i został wykpiony. Ktoś (nie pamiętam kto) występował w obronie pamięci ojca z AK. Obrady obserwował osamotniony Melchior Wańkowicz aktualnie atakowany przez władze.

Jeżeli napisałem tyle o tym zjeździe, to dlatego, że oprócz mnie przysłuchiwało się obradom jeszcze trzech późniejszych członków „Samsary”: znany mi jeszcze z liceum Andrzej Pawluczuk oraz Józef Osmoła i Stanisław Rogala. Znaleźliśmy się na zjeździe (wstęp wolny) za sprawą dr. Zdzisława Jastrzębskiego, krytyka i historyka literatury, który to szczęśliwym dla nas zbiegiem okoliczności był opiekunem pierwszego roku studiów polonistycznych na UMCS. Jego też sprawą było, że wkrótce wszyscy czterej znaleźliśmy się w Kole Naukowym Polonistów.

Na roku była nas ponad setka, z czego chłopców poniżej piętnastu. W tym właśnie węższym gronie spotykaliśmy się na zajęciach WF i na wojsku. Otóż bardzo wcześnie po zajęciach z wychowania Fizycznego zaczęliśmy omawiać swoje utwory. Zarówno Osmoła, jak i Pawluczuk drukowali coś przed studiami. Gimnastyka zaczynała się gdzieś tak wcześnie, że aż w środku nocy, ale po zajęciach mieliśmy wolną sobotę i mogliśmy czytać i dyskutować do woli. Andrzej Kaczyński (wtedy nasz kolega z roku a od udziału w redakcji pierwszej edycji "Tygodnika Solidarność" konsekwentny dziennikarz niezależny), który kiedyś znalazł się w takiej sytuacji, do dzisiaj opowiada, że czuł się winny, iż nie pisze wierszy. Te nasze spotkania prowadził Józef Osmoła, człowiek o dosyć dziwnej drodze do polonistyki. Ukończył był bowiem szkoły budowlane, w tym bodaj że technikum wieczorowe. Co rozumiałe, miał również braki, ale niewątpliwy talent poetycki. Jedynie w wierszu wypowiadał się swobodnie. Można powiedzieć, że stanowiliśmy przeciwieństwa. Między nami dwoma odbywała się rywalizacja w grupie, którą powoli zaczęliśmy tworzyć. Rywalizacja przybierała momentami wymiary zabawne.

Na pierwszym roku zostałem szefem ZMS. Moja lewicowa przygoda zakończyła się definitywnie podczas szkolenia wojskowego, gdy pułkownik J. zaczął nam tłumaczyć, jacy to Żydzi są paskudni (było to wkrótce po wojnie sześciodniowej '67 roku między Egiptem i Izraelem). Skręcałem się wewnętrznie, gdyż pułkownik J. był Żydem z językowymi konsekwencjami. Mówił, jak bohaterowie dowcipów przedwojennych. Pewnie przesiedziałybym tę farsę, gdyby nie Andrzej Kaczyński. Wstał i zaczął bronić Żydów. Poparłem Andrzeja. Usiadłem, gdy do dyskusji włączył się któryś z historyków (humaniści stanowili kompanię). Nasza obrzydliwa sytuacja była elementem akcji krajowej. Od tego szkolenia nie zwołałem już zebrania - wyszedłem z organizacji

bez słowa (po angielsku). Wyrzucili mnie, a Józef Osmoła został moim następcą. Długo to nie trwało, gdyż po Marcu '68, gdy wspólnie z kolegami szedłem w pierwszym szeregu solidarnościowej manifestacji wyrzucono jego (również z PZPR).

Jako się rzekło, już na pierwszym roku zaczęliśmy działać w Kole Polonistów. Wcześniej też zorientowaliśmy się, że trochę jest dla nas za ciasno w istniejącej strukturze. Starsi koledzy z reguły interesowali się literaturą do XIX w. - my najbardziej współczesną. Nie bardzo mieściliśmy się w skonwencjonalizowanej dyskusji, gdzie grzeczność i formy przeważały nad treścią. Jeżeli kurator prof. Janina Garbaczowska mówiła, iż „atakowaliśmy jak dwa pieski”, to miała na myśli Pawluczuka i mnie.

Bodaj w '67 roku jesienią zgłosiłem się do dr. Jastrzębskiego z propozycją utworzenia sekcji teorii i twórczości własnej. Podobnie powstawały "Żagary".

Wkrótce zebrania sekcji gromadziły po kilkadziesiąt osób (zebrania Koła po kilkanaście). Stało się tak zwłaszcza po Marcu. Energia studentów znajdowała w kołach naukowych jedyne ujście.

Przewodniczyłem posiedzeniom i trochę (nieudolnie) manipulowałem. Szczególnie wiele czasu poświęciłem na analizowanie Awangardy Krakowskiej, aby zaprogramować naszą przyjacielską grupę na dłuższe działanie. Julian Przyboś znajdował się w apogeum popularności i to, a nie sympatia artystyczna, było motorem zainteresowania. Inna rzecz, że późny Przyboś, już z pewną historiozofią, był mi bliższy niż doktryner sprzed wojny.

W demonstracji, po której Zbyszek Fronczek zesłany został do wojska na miesiąc, uczestniczyłem dystansując się - szedłem chodnikiem dziwiąc się, po co idziemy pod komitę partii. Byłem na wszystkich wiecach. Koledzy: Osmoła, Rogala i Setnik konspirowali jeszcze z pół oku. Fronczek szkolił się wojskowo w Hrubieszowie. Pawluczuk powiedział kilka niewinnych zdań z trybuny oficjalnego wiecu w "Chatce Żaka" i za to na wydziale szukała go SB. Ja w tym samym roku zadebiutowałem w „Sztandarze Ludu” dwoma „pomarcowymi” wierszykami.

W wyniku wyborów w Kole Polonistów zostałem tegoż przewodniczącym. W sekcji zastąpił mnie Pawluczuk.

W sierpniu '68 uczyliśmy się czeskiego, słuchając „svobodnych wysilaczek” na łamach Radia Wolna Europa o sytuacji w Czechosłowacji po wkroczeniu tam wojsk Układu Warszawskiego.

Koło funkcjonowało nieźle. Razem z Andrzejem Pawluczukiem znaleźliśmy się w Warszawie na spotkaniu kół naukowych i tam (!) odkryliśmy, że na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim działa bratnie Koło Polonistów. Oczywiście, umówiliśmy się i po powrocie złożyliśmy w KUL wizytę. W dwa dni po tym poprosił mnie do gabinetu dr Jastrzębski i przekazał słowa prorektora ds. studenckich, że ten uważa za zbyt bliskie więzy łączące Koło Polonistów z KUL. Mój rozmówca był absolwentem KUL, krytykiem zdecydowanie orientacji katolickiej, i gdy usłyszał moje wyjaśnienie, nic już nie mówiliśmy.

Miałem sporo czasu i energię zainwestowałem w przekształcenie się naszej grupy przyjacielskiej w grupę literacką. Trzeba pamiętać, że wszyscy odczuwaliśmy jeszcze skutki szoku kolejnych doświadczeń roku poprzedniego. Sporo publikował jedynie Andrzej Pawluczuk. Ponieważ posiadał znaczne umiejętności imitatorskie, to we dwu produkowaliśmy liczne debiuty w lokalnej prasie. Dominik Opolski pozostawił w "Kamieniu" garść rysunków i co jakiś czas pojawiały się jego przerywniki. Alek Migo śpiewał swoje teksty. To niemal wszystko.

Zależało mi na stworzeniu grupy jako wspólnej płaszczyzny - namiastki pisma. Ponieważ widziałem rzecz w perspektywie czasowej, przeforsowałem, że ma to być grupa literacka, a nie poetycka. W tym czasie analizowaliśmy każde słowo wielostronnie. Pozostała nazwa. "Samsara" została wyjęta ze słownika Kopalińskiego. Dosłownie znaczy „przejście” i w sanskrycie oznacza przechodzenie duszy ludzi w cyklach urodzin, nieszczęść i śmierci. Termin rozumiałem metaforycznie, jako udział w dużym cyklu kulturowym.

Zabiegi trwały. Po drodze zaprezentowaliśmy się Franciszkowi Piątkowskiemu. Następnie umówiliśmy się z naczelnym „Kuriera”. Przekonaliśmy rozmówcę i zostawiliśmy zestaw utworów do druku. Występowaliśmy we trzech. Stanisław Rogala reprezentował kolegów z akademika,

Pawluczuk był jako najwięcej publikujący i ja. Byliśmy wobec siebie nieufni. Ja pilnowałem, aby nie poszli podczas rozmowy na ustępstwa.

W tym momencie nie mieliśmy pod ręką plastyka. Narysowałem więc winiętę i rysunek. Wybraliśmy coś z teki Dominika Opolskiego i mieliśmy szatę graficzną. Poza Setnikiem każdy dał po dwa wiersze i z tym nie było kłopotów. Pawluczuk zobowiązał się napisać krytycznie o najnowszych tomikach, co następnie musiał poprawić po naszej krytyce. Setnik przeczytał Mały realizm albo onanizm eunuchów, co wydrukowane zostało jako Mały realizm albo miłości eunuchów. Byłem przeciw. Koledzy głosowali za. Tak redagowaliśmy. Tym samym wypadł mój tekst przeciwko konkursom jako sposobie promocji młodych poetów. Koledzy stwierdzili, że nudny.

Kolumna ukazała się i narobiła w Lublinie sporo szumu. Zostaliśmy zaproszeni do Koła Młodych przy ZLP na wieczór autorski. Zaatakowano nas na łamach studenckiego dodatku do "Kuriera" (ripostował Tadeusz Kwiatkowski — członek "Samsary", który nie dostarczył tekstów do wspólnego wystąpienia może dlatego, że najchętniej recytował wtedy wiersze wczesnego Tadeusza Kijonki) oraz w „Kamienie” - tam bronił zasad dyskusji Zdzisław Jastrzębski.

Skończyły się żarty. Poddaliśmy się pod osąd publiczności bezpośrednio.

Wieczór autorski odbył się w klubie studenckim "Arcus", Występowali już z nami Tadeusz Kwiatkowski i Cezary Listowski. Niewątpliwie najlepiej wypadł Alek Migo - śpiewał z gitarą. Pozostali czytali źle. Dyskusję (i mnie) załatwił młody poeta (Garzdecki) z KUL. Przeczytał wiersz i zapytał, czy przyjmujemy go do grupy. Szybko odpowiedziałem, że nie. Na co on, że odrzuciliśmy Miłosza. Sala przyjęła to śmiechem i było po dyskusji.

Na swój wernisaż zaprosił nas wszystkich Dominik Opolski do "Chatki Żaka".

Nasi koledzy uruchamiali w "Arcusie" teatr.

W „Arcusie” zaczęły się odbywać turnieje jednego wiersza. W tych turniejach, ku mojemu zgorzeniu, zaczęli występować i wygrywać moi koledzy z „Samsary”. Ponieważ nie ma złego, co by na dobre nie wyszło, tam zadebiutował Zbyszek Fronczek - do tej pory ukrywał swoje próby, chociaż towarzyszył nam od dawna. Kilku kolegów pod flagą „Samsary” zaprezentowało się w „Kamienie”. Próbowaliśmy druku we „Współczesności” - bezskutecznie.

W trakcie spotkań w domach prywatnych napisaliśmy trochę wspólnych utworów. I wreszcie koledzy oświadczyli: od tej pory występujemy już tylko zbiorowo. Nie piszemy indywidualnie. Odbywało się to podczas zebrania w „Arcusie”, przygotowaliśmy kolejny wieczór autorski. Zacząłem tłumaczyć, wreszcie krzyczeć, że nie ma sensu z zabawy i sposobu na szokowanie odbiorcy robić zasady. Nic nie pomagało. Wobec tego trzasnąłem drzwiami i wyszedłem.

Kolejny wieczór w „Arcusie”. Byłem współorganizatorem, ale już tylko widzem zarazem. Muzyka od Bacha (Haydna nie udało się nagrać), przez folklor wyspy Bali (tyle ze wschodniej) po jarmarczną (Laskowski, miała śpiewać te utwory w przyszłości Maryla Rodowicz, wtedy były kopiowane na plastikowych pocztówkach). Poezja zbiorowa również została nagrana. Koledzy byli za kotarą. Po jakimś czasie na widownię została wyrzucona kapusta. W Lublinie odbywał się pierwszy happening. Totalny skandal. Prasa lokalna huczała.

Moi koledzy wystąpili jeszcze raz zbiorowo - na łamach studenckiej jednodniówki. Rysowałem im winiętę i coś tam jeszcze. Pamiętam, że miałem pretensje o brak podpisu pod rysunkami.

Kolejno kończyliśmy studia. Rewolucjoniści rozjeżdżali się. Józef Osmoła wyjechał do pracy w szkolnictwie i PZPR. Milczał - zawsze tego żałowałem. Wyjechał Alek Migo i, o ile wiem, pracował czas jakiś w milicji. Milczał zdecydowanie wbrew własnej naturze i talentowi. Andrzej Pawluczuk studiował dziennikarstwo w Warszawie. Zapisał się do PZPR. Został redaktorem "Merkurysza", zapragnął wtedy zaprezentować "Samsarę". Współ z Tadeuszem Kwiatkowskim (Cugowem) dopisaliśmy kilka tekstów i wysłałem. Całość, bez sensu, zdjęła cenzura. Był 1973 rok.

Napisałem, z przekąsem, że rewolucjoniści rozjechali się. Ale była też "Samsara" grupą rewolucyjną, wynikłą z protestu przeciwko małej stabilizacji lat sześćdziesiątych, przeciwko pokoleniom starszym. Dopóki produkowaliśmy z Andrzejem Pawluczukiem debiuty była to zwykła

zabawa. Twórczość zbiorowa zaczęła się, gdy wspólnymi siłami postanowiliśmy stworzyć dodatkowego uczestnika grupy. W większym zespole powstała nowa jakość. Gra wyobraźni toczyła się tak szybko, że zapisujący nie miał szansy osobiście włączyć się. Traktowałem tę naszą zabawę jako przełożenie na polski grunt zabaw surrealistów francuskich - element cementujący grupę. Pech chciał, że akurat była pod ręką dwutomowa antologia Andrzeja Lama Polska awangarda poetycka. Programy lat 1917-1923. Józek Osmoła obnosił się z tą książką jak z Biblią. Z tej lektury wziął inspirację, aby z elementu uczynić jedyną cnotę. Ciekawe, po tej lekturze doszliśmy do podobnego wniosku. Powiedziałem wtedy slogan-recenzję: manifest jako gatunek literacki. Lektura ta nauczyła mnie nieufności wobec manifestów. Osmoła, wtedy z wielką brodą proroka, stał się mesjaszem nowej sztuki. Na kolejne okazje pisane były manifesty-ulołki. Od manifestu jako gatunku literackiego już tylko kroczyliśmy i znajdujemy się przy sztuce konceptualnej. Działania paraliterackie i parateatralne stawiały "Samsarę" w pobliżu. Trzeba jednak również pamiętać, o czym zdają się często zapominać awangardziści, że awangarda ma jedynie teraźniejszość i przeszłość, wobec której prezentuje swój bunt.

Jeżeli piszę o wszystkich uwarunkowaniach decydujących o ewolucji naszej przyjacielskiej grupy to muszę przynajmniej wspomnieć o Stanisławie Dziechciaruku. Odkąd pojawiliśmy się w "Arcusie", miał on wielki wpływ na moich kolegów. Było go w działaniach „Samsary” sporo, chociaż nie godził się na wymienienie nazwiska w składzie grupy. Rzecz w tym, że Dziechciaruk był w owym czasie bardzo bliski sztuce konceptualnej. Bardzo inteligentny i odczytany realizował się w rozmowach. Zwyczajnie nie chciał czernić papieru, chociaż podejrzewałem go zawsze, że nie miał oporów przed pisaniem, gdy podpisującym był ktoś inny. Samym przykładem i milczeniem w decydującym momencie przeważył szalę na rzecz ograniczenia się do twórczości zbiorowej. Był od nas o wiele starszy, a przy tym brat-lata, z którym jest się na ty po kilku minutach. To połączone z wiedzą przekazywaną niezwykle naturalnie, tak jakoś mimochodem, musiało młodego człowieka chwytać.

Gdy Zbyszek Fronczek zaproponował mi odnowienie "Samsary", zgodziłem się, pod warunkiem, że nie będzie to tylko twórczość zbiorowa. Przyjął to z oporami. Udzieliłem krótkiej wypowiedzi Maciejowi Podgórskiemu. Sfotografowaliśmy się we czterech: Z. Fronczek, Marek Kusiba (poznaliśmy się jeszcze przed pomysłem z twórczością zbiorową), Wojciech Pestka (jedyne nowe w naszym gronie) i ja (jedyne bez brody). Poszło w "Kamienie" (1973). Nie wiedziałem wówczas, że w Lublinie pracuje Stanisław Rogala. Tadeusz Kwiatkowski był bodaj nieuchwytny. Gdyby w grupie pojawił się Cezary Listowski - wyszedłby ktoś inny. Na pomysł włączenia Piotra (Graumana) Kobielskiego słyszałem zgrzytanie zębów.

Na łamach „Literatury” i gazet lokalnych odbywała się dyskusja o kulturze lubelskiej, zainicjowana przez Stanisława Dziechciaruka do warszawskiego tygodnika. Poparłem Dziechciaruka (dokładniej Franciszka Piątkowskiego, który poparł Dziechciaruka) w tekście dostarczonym do redakcji „Sztandaru Ludu” (nie został opublikowany). W tym momencie zbliżyłem się do Dziechciaruka.

Zacząłem publikować w „Kamienie”. Tak się złożyło, iż przede wszystkim o książkach wydawanych wreszcie przez członków krakowskiej grupy „Teraz”. Podkreślałem to, gdyż jeszcze w czasie wspólnego (a indywidualnego) poszukiwania własnej drogi w ramach „Samsary” spotkaliśmy się z Janem Prokopem, który chwalił „kontestatorów”. Nazwisk nie wymieniał. Obecnie dopiero okazywało się, o ile byliśmy opóźnieni wobec równieśników. Wczesniejsze druki w czasopiśmie warszawskich tak dobitnie tego nie pokazywały. Powoli wyjaśniało się, że na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych grupy artystyczne (również malarskie, teatralne) powstawały w Polsce jak grzyby po deszczu.

Dlaczego nie kontynuowaliśmy pozornie działalności grupowej? O różnicach artystyczno-personalnych wspominałem. Do tego otrzymałem niemal równocześnie dwie propozycje: redagowania almanachu poetyckiego dla Wydawnictwa Lubelskiego w oparciu o padłą właśnie koncepcję szkatułki poetyckiej (Łukowski i Michalski) oraz objęcia przewodniczenia Koła Młodych przy ZLP (Łukowski). Ponieważ w obie propozycje nie wierzyłem - zgodziłem się bez zastanowienia. Okazało się jednak, że wydawnictwo podpisało umowę, a na przewodniczącego

Koła wybrano mnie przed wypełnieniem papierka o członkostwie. Do zarządu weszli członkowie dawnej "Samsary" będący na miejscu. W tych warunkach - uznałem - nie mogliśmy się dodatkowo wyróżniać.

Udzielałem wywiadów w lokalnej gazecie i radiu o dużych, potencjalnych możliwościach środowiska lubelskiego. Tymczasem prasa literacka na miejscu była kiepska, cenzura najgorsza bodaj w Polsce a wydawnictwo prowincjonalne. Za to dwa uniwersytety. W sumie sześć wyższych uczelni. Aby cokolwiek ruszyć, musiałem wyzwolić te potencjalne możliwości. Z obrzydzeniem uruchomiłem turnieje poetyckie. Przeciągnąłem o pół roku złożenie książki do wydawnictwa, co pozwalało zamawiać duże zestawy, czy poematy. Robiłem to, co chyba w normalnych warunkach robić powinna prasa, wydawnictwa. Książka, w której pokazywani byli wszyscy aktualnie piszący była w znacznej mierze książką "Samsary". Zanim ukazała się przygotowaliśmy kilkakrotnie cykl arkuszy poetyckich. Koło liczyło do sześćdziesięciu osób i w żartach mówiło się, że Oddział ZLP jest przy Kole.

Pod koniec 1976 roku ukazało się „Przebudzenie” i jasne dla mnie było, że w Lublinie nic już zrobić nie mogę. Zostawiałem osiem przygotowanych arkuszy poetyckich. Wiedziałem, że ich już nie wydam. Cenzorskie zapisy wyłączyły taką ilość znaczących pisarzy, że publikowanie mnie nawet nie bawiło. Wejść do opozycji próbowałem bez przekonania - literatura emigracyjna dawała subie radę bez nadmiaru krytyków.

Stanisław Jan Królik